TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, WYDAWCA I WŁAŚCICIEL, 532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILLS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

DLA NAPRZÓD PŁATNYCH ABONENTÓW „GAZETY POLSKIEJ"	DLA TYCH, KTÓRZY NIE ABONUJĄ „GAZETY POLSKIEJ"
W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $1.00	W Stanach Zjednoczonych i Canadzie $2.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej i Azyi 1.50	Do Europy, Meksyku, Ameryki Połudn/owej i Azyi 2.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK, I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 33. *Chicago, Ills., 10 Lutego, 1887 r.* Rok III.

BOŻA OPIEKA

POWIEŚĆ

OSNUTA NA PODANIACH XVIII WIEKU

— PRZEZ —

J. I. KRASZEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

Jak się panu podoba — rzekł Janek z ukłonem — za uczciwość moją ręczę, za rozum niekoniecznie, ale proszę w przódy mnie nauczyć, co mam robić, a potem się dopiero gniewać, gdy zawinię....

Materski go po ramieniu poklepał.

No, nie bój się, nie zjem cię... nie zjem... Niechno pani Maciejowa — dodał — lampeczkę przyjmie na dobrą wróżbę, a daj Boże, aby się chłopiec udał... to jej doprawdy wdzięczen będę....

I tak Janek znalazł się niespodziewanie w winiarni pana Materskiego, dziwne ludzkie losy.

Gdy jednego razu stary Hruzda wybrał się sam na targ do Krakowa, przechodząc rynkiem i rozglądając się po mieście, na schodach do winiarni zobaczył chłopaka wyglądającego bardzo pokaźnie i zręcznie, którego na pierwszy rzut oka nie poznał. Chłopiec go nie widział. Hruzda zatrzymał się nieco u węgła i że go twarz uderzyła, dobrze mu się przypatrzył. Był to — Janek ten sam Janek, po którym teraz tęsknił, bo mu żaden najęty parobczak tak go zastąpić nie mógł, ale wypiękniał, wyrósł i zupełnie miał miejską postać.... Twarz dosyć rumiana śmiała mu się, oczki błyszczały, śmielszy niż był kiedykolwiek stojąc w progu rozglądał się po świecie, jakby ten świat miał w kieszeni.

— Alež, daj go katu!—mruknął Hruzda—paniczek z niego! hę! hę! jużby mu się pewnie do pługa i radła nie chciało!

Coś, jakby uczucie jakiejś zazdrości ukąsiło go w serce; uśmiechnął się pod wąsem. —

— No—rzekł—to mi się nie źle udało... Baba moja kłamie przedemną i zaręcza, że nie wie, co się z nim stało, a że wie.... to pewna! Ale i ja też wiem, ta i dobrze. Jeźli teraz kuternoga się zgłosi do mnie, to mu pokażę, gdzie go szukać.... A co go mam oszczędzać! Jeźli chłopskie dziecko, niechaj wraca do tego jarzma jak i my.... Będzie się tu w pierzynach wylegał i patrzał się z ganku, jak my w błocie piechotą brodzimy? niedoczekanie!

Hruzda dobrze sobie zanotowawszy kamienicę i zieloną wiechę, poszedł, powrócił do domu i zrazu milczał. Drugiego dnia przy misce ozwie się do baby:

— Co się to tam z tym Jankiem stało?

Hruzdzina spojrzała nań i ramionami ruszyła....

— A cóż nieboraczysko pewnie gdzieś na wsi u gospodarza.. haruje.

— No, ja myślę, że nie — odparł Hruzda —to nie głupi chłopiec, choć go tu głupim zwali, wybrał on pewnie co lepsze i kędyś miejskie bruki zbija....

— Et! gdzie zaś! — ofuknęła żona.

— Bo mi się nawet zdaje, że ja go w mieście widziałem — dodał Hruzda.. no i gdyby teraz kuternoga ów przeklęty przybył, wskazałbym, gdzie go szukać.

Baba się porwała, łyżkę rzuciwszy. — Słyszycie! — zawołała — to byś go oddał temu łajdakowi...

— A dlaczegóż łajdak? czy że dał pięćdziesiąt talarów, com sobie gospodarstwo poprawił?

— A miałbyś ty te pięćdziesiąt, gdyby nie chłopiec?..... i za to go chcesz dać?....

— Cóż to, ten go ma zgubić, co go ratował? — spytał Hruzda.

— Wiesz że ty, czy on go ratował czy gubił oddając na cudze ręce? Człowieku... rozgniewana poczęła Hruzdzina... toć pewno nie czysta sprawa...

Hruzda zamilkł...

— Co mam kłamać — odezwała się gospodyni z gniewem — otóż wiedziałam i wiem, gdzie chłopiec jest, ale jeźli mu się co złego stanie... Hruzda jak Bóg żywy... ja.... ja... nieszczęśliwym cię uczynię.... zgubię siebie, ciebie, chatę, wszystko.... Słyszysz! klnę się na Bóg żywy!...

Chłop też się rozsierdził. — A to jędza, zawołał... a to jędza.. Chłopiec ci milszy niż ja i dom....

— Chłopca Pan Bóg na opiekę naszą dał... Rób jak ci się widzi, ale pamiętaj, com rzekła... mnie życia nie wiele już zostało.... tak z niem, jak bez niego.

Po tej rozmowie Hruzdzina markotna poszła z płaczem do alkierza, a Hruzda się zamyślił.... i pociągnął do szynku.... Upłynął jakiś czas, kuternoga się nie pokazywał. Hruzda znowu na targ pociągnął do Krakowa.... Miał trochę owsa na sprzedaż, kupił go właśnie woźnica jakiegoś duchownego i kazał wieść na Wiślną ulicę. Gospodarz pociągnął zwolna... Po drodze.... jakby na umyślnie.... nawinął się kto? kuternoga.... Hruzda czapkę zdjął.

— O! toście wy tutaj! — zagaił szlachcic a z czemże?

— Z owsem, ale już sprzedany....

— Co tam słychać?

— Głucho, nie ma nic.

— Chłopiec się nie znalazł?

— Gdzieby zaś! gdzieby.... ani śladu! Ino mi się zdaje, że jak był głupi Janek ciekawy.... pewnie musiał do miasta pociągnąć....

— Zkądże wam to? a mówiliście przecie, iż na wsi pewnie jest?

Hruzda ramionami dźwignął i zamilkł.

— Macie jaką poszlakę?

— Gospodarz konia zaciął, pokłonił się i skończył zwykłem, Niechże będzie pochwalony Jezus Chrystus....

Ale kuternoga szedł za nim.... zadumany... jakby wspomnienie chłopaka ocuciło coś mu w sumieniu.

— Gospodarzu.... hę? gospodarzu! — zawołał nań — oto tu szynczek.... chodź.... kieliszek wódki na chłodny czas nie zawadzi....

Miał to do siebie Hruzda, że wódce oprzeć się nie mógł, obawiał się jej, a ciągnęła go... Koń był nawykł stać spokojnie i drzemać. Szynczek pod Trębaczem otwarty nęcił do siebie.

— Ale bo, chodźcież — wołał kuternoga — wódka słodka a tęga.... powietrze wilgotne....

— Wiecie co dobrodzieju — odparł Hruzda — kiedyżeście już na mnie tak łaskawi, o trzy kroki ztąd owies zsypię i przybiegnę, bo by mi go kto jeszcze z wozu gotów ściągnąć.

— A no ja tu na was poczekam....

Stało się jak chciał Hruzda, który owies oddawszy, spokojny powrócił. Weszli do szynku pełnego a gwarnego, jak to zwykle bywa w dzień targowy. W jednym końcu grał góral na kobzie, w drugim cygan brzękał na drumli, ludu ścisk był wielki, zapijali litkup jedni, drudzy się spotkawszy częstowali.... Ci, co zaczęli zawczasu, już śpiewali, młodych kilku parobczaków nie mogąc tańcować, bo nie było ani gdzie, ani z kim, tupali nogami w pośrodku izby. A tłok był około szynkowni, że kieliszków szynkarz nastarczyć nie mógł. Na znak jednak kuternogi natychmiast zjawiła się butelka i znalazło miejsce.... napili się po kieliszku.... Staremu wódka smakowała jak nektar, plasnął językiem.... Kieliszek był na oko niby pokaźny, ale z zielonego szkła, gruby i trzymał tyle, co dobry naparstek... Mruknął kuternoga.

— Po drugim! a no cóż? po drugim, takich dwa ledwie za jeden stało.... a Hruzda do pół kwaterka był nawykły.

Przysiedli w kącie na ławie... Cóż tam, urodzaj? jak? — A no, niezgorzej.... — Chwalić Boga... Chłopca wam pewnie jednak żal?... — Co prawda to prawda, była pomoc w gospodarce... Bał się mnie jucha i pracował, bo co moja baba, to go na nic psuła... No! już i matka lepiej nie potrafi rodzona....

— I jakże by też ona uspokoiła się nie wiedząc o nim! — dodał kuternoga...

Zaśmiał się Hruzda szeroko.

Wypili po trzecim kieliszku...

— Ona wie? — spytał szlachcic.

— A juścić! a juścić! — potakując szepnął stary — wie. A jeśli wam wiedzieć się chce... ino pilnujcie, jak we środę idzie na targ w rynku. Zobaczycie, że pewnie gdzie zajdzie, albo do niej jaki chłopak się zgłosi... i... zatulił sobie usta śmiejąc się, czapkę nacisnął. — Ja nic nie wiem!...

Jeszcze się wódki raz napili na pożegnanie i rozeszli, a gospodarz śpiewając wrócił do domu. Hruzdzina była kobieta rozumna... Zobaczywszy go podchmielonego wzięła na egzamen, nim się wytrzeźwił. Owsa było tyle, cena taka... pieniędzy zostało dosyć... a za cóż wódki kupił? Hruzda pochwycony indagacyą w stanie błogiego rozmarzenia rozgniewał się i zawołał: — Co ty mnie stara czarownico będziesz słuchać spowiedzi? Piję co chcę, z kim chcę... częstował mnie przyjaciel...

Rozgniewawszy się więcej jeszcze, Hruzda wygadał się, że z kuternogą spotkał się i rozmawiał... Nazajutrz rano, stara nie opowiedziawszy się mu, pobiegła do Krakowa... obawiając się zdrady i chcąc chłopcu oznajmić by się miał na baczności. Tymczasem los tak zrządził, że właśnie ten jej pospiech i niepokój Janka miał zdradzić... Kuternoga wyjeżdżał z Krakowa otulony płaszczem, z czapką na oczach, i Hruzdzina wcale go poznać nie mogła, on ją jednak najrzał i konia zaraz nawrócił... Jechał opodal ostrożnie aż do samego rynku i w rogu ulicy Floryańskiej przystanął. Ztąd doskonałe widział, jak kobieta poszła pod zieloną wiechę, jak do niej chłopak wyszedł z włosami jasnemi, w kurtce siwej, i jak na schodkach stojąc z sobą rozmawiali. Ufając w to, iż go kobieta nie pozna, zakrywszy twarz lepiej jeszcze, podjechał z koniem pod kamienicę i zwolna ją mijał, aby się chłopcu przypatrzeć, bo myślał sobie, iż tam u kupca nie jeden taki być musiał.

Z pod czapki oczy wlepił w Janka, a w miarę, jak mu się dłużej przyglądał, bladł jak ściana... drzeć począł, lejce koniowi puścił i nie oprzytomniał, aż pominął wiechę i rozmawiających. Znać widok dziecka tak go wzruszył, iż zamiast, jechać, jak miał zamiar za miasto... koniowi pozwolił wrócić na ulicę Wiślną i... wjechał tu do bramy, która się za nim zamknęła....

Kto by był mruczenia jego podsłuchiwał... dosłyszałby może wyrazów. O! straszne, niepojęte, podobieństwo... nie! nie! jego ztąd trzeba się pozbyć, bądź co bądź, tak czy owak... Uchowaj Boże, ona go spotka.... Panu się nic nie stanie... a mnie! Szubienica!! nie... sprzątnąć go trzeba... nie ma rady...

Materski cudem jakimś żył tak długo na świecie, nigdy go bowiem nie opuszczała gorą-

czka... Wstawał i ledwie się przeżegnał, już się musiał gniewać, nie cierpliwił się dzień cały, krzyczał, łajał, biegał, a gdy wieczorem ostatni gość wyproszony za drzwi wyszedł wlokąc nogi za sobą, trzeba było po kątach zbierać rozespanych chłopców, porzucane butelki, liczyć szkody, dochody i kreski na deskach kredytowe, tak że pacierz wieczorny nawet bez obrazy Bożej się nie obszedł. Materski znużony usypiał, a we śnie marzyły mu się dzienne jego znoje i utrapienia... Biedaczysko nigdy nie spoczął. Dom jego składał się z jejmości, która w dobrej szkole uczona, tak była nieszczęśliwą złośnicą jak on, z syna, który z domu uciekł i gdzieś na Węgrzech losu szukał, podobno w parze z jakąś towarzyszką, z którą mu się ożenić nie pozwolono; z dwóch sług płci niewieściej i dwóch chłopców urwiszów oprócz Janka... Pierwszych dni, gdy się pod zieloną wiechę sierota nasz zaciągnął, rozglądnął się zaraz w całem gospodarstwie... do roboty mu jeszcze nie dano nic. Zaprowadzony do jejmości wytrzymał indagacyę, ale miał czas się rozmyśleć, co począć było potrzeba. Nadszedł w chwili wolniejszej sam Materski... Rozpoczęła się instrukcya, co, jak, gdzie, kiedy czynić miał Janek. Wszystkiego wysłuchał.

— Za pozwoleniem jegomości — rzekł — moja historya krótka, ale ja ją powiedzieć muszę jeszcze raz. Jestem sierota, ks. kanonik Hodowski trochę mnie poduczył... ja się chcę uczyć. Służyć jegomości będę wiernie, poczciwie, muszę jednak mieć swoją wolną godzinę. Zapłaty nie chcę żadnej... dacie mi jeść i tyle.

— Czego ty się będziesz uczyć? — spytał Materski — czego? czego? czytać i pisać? hę? mistrantury? Cizyojana... beków kościelnych? co to ci plechy się chce? co?

— Chce mi się coś umieć i na ludzl wyjść — rzekł Janek.

— Toś głupi kochanku... ucz się grosz robić, a wyjdziesz nie tylko na ludzi, ale nad ludzi... ot co! — zaśmiał się Materski... Cóż to, ja cię będę trzymał, żebyś ty mi syllabizował w piwnicy?

— Nie bój się jegomość, gdzie dozoru będzie potrzeba, ja nie zawiodę... zobaczycie...

— Coś on się strasznie zawczasu chwali! — szepnęła jejmość.

— A no, wszelako spróbować trzeba — odparł Materski... Pokazano Jankowi, co miał czynić, i wzięto go na próbę. Po trzech dniach kupiec przyszedł do żony.

— A co jejmość mówisz o Janku?

— Licho go wie, co z tego będzie, nadto rozumny...

— I nadto poczciwy — dodał Materski — jeszczem takiego nie spotkał; szpiegowałem go, kropli do ust nie weźmie, grosza pilnuje, chłopcy go się boją, dziewki zdala obchodzą... Jak on tu pobędzie, gotów i nas zawojować...

— A no dalej próba niech idzie...

Szła tedy próba dalej. Janek do dnia chodził do kościoła i do starego bakałarza, z którym u kanonika się poznał, po zamknięciu sklepu nocą przy ogarku uczył się... kluczów z rąk nie puszczał, niewidziany ład zjawił się w handlu...

— Cóż jejmość mówisz o Janku? — spytał Materski po kilku tygodniach...

— Co aspan mnie probujesz i zachodzisz z przełamu — ofuknęła się jejmość co—tu gadać, to porządny chłopiec i rozumny. Trzeba mu zapłacić i oszczędzać go, aby nie poszedł...

— No, to prawda — mruczał Materski — a co prawda, o to widzisz jejmość, ja się sprzeciwiać nie bębę, chłopiec Utsyk... jak mówi ksiądz profesor, Utsyk... ale on tu długo nie pobędzie, jemu sutanna pachnie.

— Tylko jegomość na niego bez przyczyny, jak to umiesz, nie krzycz, nie wyźwierzaj się.

— Tylko jejmość go nie łaj i nie skąp mu jadła...

— Ale bo to ty...

— Ale bo to wasani... Już się poczynali jeść państwo Materscy, wszedł Janek z kluczami i wszystko ucichło. Wstydzili się go... Chłopak wyglądał jasno, pogodnie, młodo... szlachetniej niż to, co go otaczało... i dziwnym urokiem twarzy, głosu, wejrzenia panował prawie tym ludziom, którym służył. Jejmość mu się uśmiechnęła, Materski go po ramieniu poklepał.. Przyniósł właśnie pieniądze, obrachował się z nich i nie bawiąc odszedł... W handlu na prawdę on teraz rządził, Materski tylko wziął na siebie policyą nad służbą i zabawiał się kuksaniem jej po kątach.

Tego dnia jakoś bardzo było w izbach pełno....

Janek zwykle siadywał w zakomarku pod okienkiem... Nad jego ławką była framużka i w niej szafeczka, tę na użytek chłopca oddał p. Materski. Oprócz innych drobnostek Janek w niej trzymał książki, a gdy w handlu nie było co robić, i gości brakło, siedział tu na straży i korzystając z czasu — uczył się. Z ławki swojej miał oko niemal na całe swoje mieszkanie i z tyłu na służbę i na skład butelek.... Chłopcy nie mogli przejść, żeby ich nie zobaczył... Niekiedy gdy brakło usługi, wychodził i sam pomódz drugim.... Znali go już niektórzy zwykli goście p. Materskiego i polubili wszyscy. Uskarżali się tylko, że nie skory był do gawędy, a przy winie gawęda bywa pilną potrzebą. Czemby człowiek wino i butę jego przemeł, gdy nie językiem? Wszystko by to w środku zostało i mogłoby w końcu zaszkodzić. Właśnie Janek siadł w swoim kątku klucze powiesiwszy u pasa, gdy w progu zjawił się mężczyzna siwy, barczysty, twarzy ponurej, brwi nawisłych, opierający się na kiju z siekierką.... nakuliwający nieco na jedną nogę. Wszedł jakoś krokiem niepewnym, wahając się niby, czy ma próg przestąpić, znać tu niebywały, bo nie wiedział, gdzie sobie miejsca ma szukać.... Obejrzał się dokoła.... przy stoliczkach, gdzie już siedziało osób kilka, miejsca nie zajął i pociągnął do drugiej puściejszej izdebki. Los tak zdarzył, że chłopcy byli wszyscy zajęci. Janek więc podszedł spytać go, czego sobie życzy.... Mężczyzna ów podniósł głowę, oczy w niego wlepił, patrzył długo milczący.... usta mu się otwarły niby mimowoli... głowa trzęsła... głosu brakło. Znać był zmęczony. Naostatek zebrał się jąkając na słowo:

— Proszę... asana... butelkę starego miodu...

— Starego?

— Jak najstarszego... Janek wyszedł, bo musiał zapalić kaganek i znijść do lochu, do którego w trzeciej izbie były wdół wiodące wprost schodki. Powrócił wkrótce ze starą butelczyną, i z lampką wraz zaniósł ją owemu jegomości, który żadnego poruszenia jego, żadnego kroku nie prześlepił... wciąż nań patrząc jak w tęczę...

Gdy butelkę na stole postawił... chciał odejść, ale stary ozwał się: — Nalejże mi...

Janek powoli czarny ów napój, gęsty, bursztynowo-świecący lać zaczął.

— Hm — rzekł przybyły — coś to tu asan nowy... bom go nie widywał...

— Tak jest... od niedawnam tu...

— A imię aspana? — Janek...

— Z kądże to z miasta? ze wsi?

— Jestem w mieście już drugi rok...

— A dawniej?... — Byłem na wsi nie opodal.

— Gdzie? u kogo? — Czy to panu na co potrzebne — zapytał chłopiec.

Stary ramionami ruszył. — A po co mi to ma być potrzebne! Tylko się dziwuję, że tak porządnie wyglądający chłopak zaprzągł się do służby u tego krzykuna i hałaśnika Materskiego. A to ci pokój niemiły.

Janek się uśmiechnął...

— Jak nie ma za co, p. Materski nie krzyczy...

— A to by był cud, żeby mu się gęba zamknęła...

— Przepraszam pana — odparł Janek — ale zkądże o tem pan może wiedzieć, kiedy tu nigdy u nas nie bywa...

— Bywało się dawniej.

To mówiąc z pod brwi krzaczystych spojrzał nań gość, pociągnął miodu i splunął.

— Cóżeś to ty mi dał? — rzekł — miód? ale zdębiały... ja takiego nie lubię...

— Miał być bardzo stary...

Materski już zwąchawszy coś nadbiegł.

— Co tam takiego? hę? Co pan każe? Co? złe? omyłka... czy nie w smak?

— Omyłki nie ma, samem winien... miodum chciał starego, dali mi tego chyba, co go król Piast warzył, bo gębę ściąga jak drutem.

Materski butelkę porwał, powąchał: A no! — rzekł — jeszcze się pan skarży?

— Wolałbym słodszy...

— Hej Janku, butelkę zamknąć — zawołał kupiec — przyjdzie ksiądz Scholastyk, on takie lubi... a jegomości dać z pod drugiego okna, pękatą...

Spełnił Janek polecenie i poszedł.

Zkądżeś to panie Materski — zapytał przybyły—napytał takiego zręcznego chłopaka?...

A! to panie perła! — zawołał kupiec — ale sza! żeby nie słyszał. Znać że w rygorze miejskim się wychował, sierotka... takiegom nie miał jeszcze...

— Co za jeden?

(Dalszy ciąg nastąpi.)

TRZEJ WĘDROWCY,

CHRZESCIANIN, ŻYD I TUREK

— CZYLI —

KTO W BOGU POKŁADA ZAUFANIE, O TYM MA TENZE OJCOWSKIE STARANIE

Powieść nader powabna i pouczająca.

— PRZEZ —

TOMASZA WIŚNIEWSKIEGO.

(Ciąg dalszy.)

— Chcąc to uczynić, biegłem rano do twego pałacu. Przyszedł niewierny. Rysy twarzy jego nie zdradzały nic złego. Już kazał się zameldować, i już miał się tobie przedstawić. Zbliżam się tedy ku niemu, biorę go za rękę, udaję, jak gdybym miał z nim na prędce coś ważnego pomówić, prowadzę go do przyległego pokoju, i byliśmy sam na sam. Nabrawszy siły i odwagi uchwyciłem go nagle za piersi i rzekłem: zabójco króla naszego!

— Zbrodniarz stracił przytomność, zbladł i zadrżał. Rozdarłem tedy szatę jego i wyrwałem mu stal. Nie chciałem tego nieszczęśliwego potępić, ale chciałem ciebie i jego samego od śmierci uratować. Miałem nawet nadzieję, iż go zdołam przywieść znowu na drogę cnoty, i do uznania swojej nieprawości, lecz nim do niego przemówiłem, już był za drzwiami, i więcej go nie widziałem. Nazajutrz trupa morze wyrzuciło.

— Znasz zapewne tego nieszczęśliwego, — królu mój i panie, — i dorozumiesz się łatwo, dla czego i drugi z najznakomitszych panów twojego państwa tak nagle zginął. Musiał się domyślać, iż tajemnica odkrytą została.

— Oto stal! — rzekł Zebit, podając ją królowi, — która w krwi twojej zbroczoną być miała.

— Dowiedziałeś się teraz, królu mój, o najpamiętniejszym uczynku moim. Byłbym o nim zamilczał i tylko w sercu mojem zachował, lecz sam pragnąłeś, rozkazałeś, i spodziewam się, iż tylko dopełniłem twego królewskiego rozkazu.

Wszyscy milczeli.

Król Ulin rzekł:

— Przystąp cudzoziemcze tu bliżej do mnie, przyjmij zapewnienie mojej przychylności! Bardzo pięknie i szlachetnie postąpiłeś sobie. A chociaż nie znasz nauki Upupacha odwiecznego, czyniłeś jednak podług zasad jego, gdyż nam nakazuje: oddalaj nieszczęście od każdego człeka, i szanuj, broń i nie niszcz dobrego powodzenia jego. Ratując mnie, nie chciałeś potępić nieprzyjaciela.

Król ulin podał Zebitowi wielki złoty łańcuch i rzekł do niego:

— Noś go na pamiątkę twego wielkiego czynu!

Teraz przyszła kolej na Jusufa żyda, który w sposób następujący przemówił:

— Królu i panie! Sam podałeś mi środki do dokonania czynu wielkiego. Wielkiemi dostatki obdarzyła mnie twa szczodrobliwa ręka. Byłem niewypowiedzianie kontent i mocno szczęśliwy. Odprawując różne podróże, zdarzyło się, żem spotkał nieznajomego człowieka w najnędzniejszym położeniu. Nie miał czem nakryć nagości ciała swego, głód groził mu śmiercią. Położenie jego wzruszyło serce moje i zabrałem go z sobą. Dałem mu odzienie, żywność i pomieszkanie wygodne. Za to był mi wdzięcznym, słuchał mnie we wszystkiem, tak jak słucha dziecię ojca swojego. Codziennie więcej nabierałem do niego zaufania, lubiłem go mocno, i uczyniłem go zarządzcą mego majątku bez ograniczenia.

— Lecz Jehowa nie był z tym człowiekiem. Wyzuć chciał mnie z całego majątku i pozbawić mnie owoców przezemnie nabytych. Otóż takie było dla mnie wynagrodzenie, żem z nędzarza uczynił szczęśliwego i pomieścił go pomiędzy pierwszymi powiernikami moimi.

— Niewierny, gdym się właśnie w dalekich znajdował okolicach, wziął cały skarb mój udał się na okręt i chciał uciekać. Lecz Jehowa nie dopuścił tej zbrodni. Oto statki nasze spotkały się na morzu, poznałem sługę mego i zaraz dorozumiałem się o złośliwym zamiarze jego. Powiedziałem o tem naszemu kapitanowi okrętu, który go natychmiast aresztować kazał. Niewdzięczny nazywał się Lewat. Przybiwszy do lądu, przekazano go sprawiedliwości. Podług praw twoich, królu i panie, zasłużył ten zbrodniarz na karę śmierci. Lecz skoro skrzywdzony prosi za obwinionym, natenczas, zamieniają karę śmierci na wygnanie z kraju. Wstawiłem się za nim i nastąpiło, jak powiedziałem. Los niewdzięcznego był równie opłakany, jak dawniej. Już miał się ze mną pożegnać, i po drugi raz wzruszył moje serce, zapomniałem o wszystkiem, i dałem mu, co miałem. Ta litość moja skutkowała wielce. Oto nieszczęśliwy rozrzewniwszy się do łez, poprzysiągł mi, iż już się nigdy w życiu swem podobnego nie dopuści występku, owszem stanowi uroczyście, iż będzie cnotliwe zawsze prowadził życie.

— Mam przekonanie, królu mój i panie; iż niewdzięczny nie zginął na zawsze, owszem, iż jest teraz przykładnym człowiekiem; gdybym nie był sobie tak postąpił, byłby zginął moralnie.

— I twój czyn, rzekł król, — dowodzi, że i twoja nauka nie sprzeciwia się nauce odwiecznego Upupacha, który mówi: nie bądź niemiłosiernym przeciw przestępcom, lecz staraj się, abyś im wskazał drogę cnoty i szczęścia.

— Zbliż się do mnie, cudzoziemcze, i weźmij ten pierścień, i noś go na pamiątkę twego szlachetnego czynu!

Przyszła nareszcie kolej na Ludwika, który się skromnie mowom towarzyszów przysłuchiwał. Wystąpiwszy kilka kroków naprzód, rzekł:

— Królu mój i panie! Z boleścią wyznaję, iż zbywa mi na uczynku, który byłby godzien abyś się o nim dowiedział. Zaręczam uroczyście, iż skarbów udzielonych równie na dobre używałem, jak towarzysze moi, lecz nie miałem sposobności do okazania szlachetnego czynu jakiego, który istotnie zasłużyłby na pamięć i względy twoje, królu i panie. Miejże przeto litość nademną i uszczęśliwiaj mnie i nadal twą królewską i ojcowską łaską!

— Cóż to, — rzekł król do Ludwika, — sześć miesięcy czasu dałem tobie, a ani jednego nie wykonałeś dobrego uczynku, któryby wspomnienia był godzien?

— Panie! — odpowiedział Ludwik, — oddal gniew od siebie i bądź przekonany, że gdybyś mi rozkazał co dobrego wykonać, nie odwłóczyłbym ani na moment, lecz wykonałbym go natychmiast z największą szczerością i chęcią.

Tedy wystąpił jeden z przytomnych i tak się odezwał do króla:

— Wielki królu! dozwól łaskawie, abym mówił do ciebie i wyznał rzecz jedną przed tobą i całym dworem twoim, oddał sprawiedliwość temuż cudzoziemcowi, który jest jeden z najszlachetniejszych w twoim narodzie. Pojmij złość moją, i uznaj czyn najszlachetniejszy cudzoziemca; przebacz mnie nędznemu, a pochwal cnotliwego.

— Mów rzekł król; — a ten zaczął:

— Wielki królu! gdy tych trzech cudzoziemców przybyło do twego królestwa; byłem świadkiem twej wielkiej szczodrobliwości; widziałem, jak otworzyłeś im skarby twoje, i obsypałeś ich niezliczonemi dostatkami. Zazdrościłem i nienawidziłem ich dla tego, i rzekłem sam do siebie: wiele ubogich znajduje się w kraju, a król daje tyle bogactwa tym cudzoziemcom, na które wcale nie pracowali? Nie umiem opowiedzieć, jak wielka przeciw nim we mnie powstała nienawiść.

Najbardziej nienawidziłem tego, który tu w mojej stoi blizkości. Przy jego bogactwie poznałem, iż umiał sobie na prawdziwy u wszystkich zasłużyć szacunek, wszyscy czuli szczególniejsze do niego zaufanie, i miłowali go mocno. Im większa ta miłość była, tym większa moja nienawiść. Prześladowałem go więc wszelkiemi sposobami; gdzie tylko mógłem, szkodziłem mu, i zasmucałem go we wszelkim względzie. We dnie i w nocy nie miał spokojności odemnie. Ledwie żem jedno nieszczęście, zmartwienie na niego zwalił, już przemyślałem o drugiem, więcej

kszem jeszcze od ostatniego. Czułem wielkie zadowolnienie, gdym swego dokonał; całe serce moje było napełnione jadem najzłośliwszych bestyj. On zaś ponosił to wszystko z niewypowiedzianą cierpliwością; inny byłby mnie nawzajem prześladował. — Jednego wieczora powstał krzyk na ulicy: Ogień! Ogień! I biada mi, mój własny dom się palił. Ratowano, co można było ratować. Wtem bieży małżonka moja i krzyczy głosem przeraźliwym: oto jedyne dziecię moje leży w płomieniach, zginie od ognia! Zdawało się, iż nikt nie chciał się na tak wielkie narazić niebezpieczeństwo. Lecz ten cudzoziemiec ledwie usłyszał głos rozpaczającej żony mojej, — już przebiega szybkością strzały płomienie i z tąż samą szybkością powraca po małej chwili i oddaje matce moje ukochane dziecię bez najmniejszego uszkodzenia.

Nie dosyć, młodzieniec ten uczynił jeszcze więcej.

Król i całe zgromadzenie dało znaki największego zadowolnienia i pochwały.

— Nie dosyć mówię, iż mi wyratował jedyne dziecię moje, okazał się także największym moim przyjacielem. Kilka tylko ruchomości wyratowano z domu; a dom i cały majątek spalił się do szczętu. Byłem nędzarzem i nie wiedziałem co począć. Lecz ten cudzoziemiec idzie czem prędzej do budowniczego, umawia się z nim i w przeciągu kilkunastu dni wystawiono dom wspaniały ze wszelkiemi wygodami i sprzętami. Przychodzi tedy do mnie, prosi, abym mu nie wziął za złe, bierze nas wszystkich ze sobą i prowadzi do nowego domostwa, oddaje nam wszystko na własność i powiada, iż to uważa za obowiązek względem bliźniego, i przeprasza mnie, żebym się o to nie gniewał. Prosił mnie także, abym mu wszystko darował, jeżeli mnie kiedykolwiek obraził. — Łzy czułości puściły nam się wszystkim z oczu, i wdzięczność dozgonną czujemy ku tobie, zacny młodzieńcze! Ja jego najzaciętszy nieprzyjaciel, stałem się jego prawdziwym wielbicielem, i z boleścią przypominam sobie niegodziwości, jakich się dopuściłem przeciw jednemu z najszlachetniejszych ludzi na świecie. Skromność jego przechodzi wszelkie pojęcia. Nawet dziś przekonywasz się królu o tem. Oto powiada w tej uroczystej chwili, iż nie wie, iżby co tak wielkiego uczynił, coby było godnem pamięci nas wszystkich.

Ludwik rzekł:

— Panie mój, królu mój! nie oceniaj czynu mego tak wysoko. Wdzięczność i poprawa męża, który właśnie mówił, nadają istotną wartość czynowi mojemu. Ja bowiem uczyniłem tylko to, co mi powinność moja nakazywała, nie upatruję w tem przeto żadnej osobistej zasługi, i nie byłbym o nim pamiętał, gdyby mi mąż ten sam nie był przypomniał. Każdy dobry człowiek byłby to samo uczynił.

I wstał król z tronu, i uściskawszy Ludwika, rzekł:

— Najszlachetniejszy cudzoziemcze! wart jesteś zasiadać na mojem miejscu; przyjmij pochwałę za tak celujący czyn twój, i połowę szaty mojej, na znak wielkiej godności twojej. Powtarzam, iż jesteś godzien na takim jak tu zasiadywać tronie, bo w takim razie byłbyś wzorem dla wszystkich; przykłady twoje rozchodziłyby się od okolic do okolic, a naród byłby co raz szczęśliwszym. Lecz i w szczupłym obrębie działania twego czynisz chwałę istocie najwyższej, która niech wszelkie na ciebie zseła błogosławieństwa!

I rozdwoił król mieczem ornat swój królewski, i podał połowę Ludwikowi z radośnym okrzykiem całego zgromadzenia.

ROZDZIAŁ OSMY.

Śmierć Jedoka.

Wiele już lat upłynęło. Król Ulin już do sędziwszych lat dochodził, a im był starszy, tym większej doznawał niespokojności. Był on wiernym wyznawcą nauk odwiecznego Upupacha, lecz to wszystko nie zadowolniło go zupełnie. Gdzie siedział lub stał, wszędzie go myśli o religii trapiły; długo czasem rozmyślał, a nigdy zaspokajającego nie osiągł rezultatu. Trzej wędrowcy nasi podwoili badania jego, i dopiero po raz pierwszy w życiu począł powątpiewać o prawdziwości i nieomylności nauki odwiecznego Upupacha. Długie jeszcze lata bawili cudzoziemcy na wyspie króla Ulina, a każdy był cnotliwym aż do podziwienia. Byli gościnnymi,

kochali swych bliźnych, i nawet najmniejsze na nich nie zachodziły skargi. Bogactwa ich pomnażały się znacznie, a z dostatków swoich obdarzali sowicie ubogich, lub przykładali się do innych pożytecznych rzeczy dla dobra ogólnego. Przytem zażywał każdy wolności w dopełnianiu obowiązków religii swojej, i nigdy nie wtrącali się w rzeczy, które do nich nie należały. Szanowali się wzajemnie, i nie szydzili nigdy z ustaw i zasad religii obcych, czego już prawo samo zakazywało. Takie przymioty wzbudziły przychylność w królu Ulinie ku nim, nie wiedział jednak, który z nich na pierwszeństwo zasłużył.

Pewnego dnia przybyli z prośbą do króla, aby im pozwolił powrócić do domu, do rodziców, krewnych i przyjaciół starych, aby widzieli, jak są uszczęśliwieni przez wielkiego króla Ulina, i przekonali się, jak wiele dobrodziejstw im szczodrobliwe ręce jego udzielały podczas pobytu ich na wyspie, na której panuje; nakoniec, aby zwłoki ich były złożone w ziemi ojczystej, w blizkości rodziców, krewnych i przyjaciół, gdyż wszędzie, rzekli, może być miło, ale w ojczyznie najmilej.

Lubo z niechęcią, nie mógł im jednak król tej prośby odmówić. Gdy wszystko do odjazdu było przygotowane, przybyli na pożegnanie do króla. Po raz ostatni król wynurzył im swoje zadowolnienie, pożegnał się z nimi i pozwolił pojechać. Trzy statki napełniono wielkiemi skarbami, i każdy płynął pełen nadziei wielkich do swojej ojczyzny. Kilka już lat minęło, gdy nasi wędrowce opuścili wyspę, a król jednak o nich nie zapomniał i o zasadach ich wiary. Król uczęszczał do Jedoka, i zawsze oba w ważnych rozmawiali rzeczach. Jedok był już bardzo w latach i często zapadał na zdrowiu. Mędrzec ten bardzo piękny posiadał ogród, w którym najwięcej przebywał. Wedle zwyczaju swego przechodził się tutaj, dumał i badał, co większa, sam z sobą rozmawiał. I zdarzyło się, że pewnego dnia taką z sobą rozpoczął rozmowę:

— O jak piękny dzisiaj dzień, dawno takiego nie było. Pójdę i nazbieram ziół! Nie bez pożytku rosną one na ziemi; wszystko dla pożytku i potrzeby człowieka. W kwiatku lub zielu, kamieniu lub mchu, w każdym korzonku leży ukryta moc jakaś, z której człowiek korzyrzystać może. Jak wielu nie znają tej prawdy, myślą nawet, że to niepodobna. Lecz skoro człowiek tylko na wszystko ma baczność, i roztropnie wszystkiego dochodzi, tedy dojdzie do celu, i dojdzie do prawdy. Niebacznemu zamyka ziemia swe skarby, a roztropnego badacza wprowadza do prześlicznych świątyń i niepojętych źródeł bogactwa swego. Prawda, prawda, mało ugania się za tem szczęściem; niecierpliwią się, gdy im natychmiast się oczy nie otworzą i nie poznają tajemnic matki naszej natury! Nie ona, lecz ty winieneś człowiecze! Ona rany uzdrawia i pociesza strapionych; ona dodaje sił osłabionemu i wzmacnia go do życia. Tylko wytrwałości trzeba w dobrem przedsięwzięciu, a wtedy nie będziemy nazywali pozorem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

GAWĘDZIARZ.

WYŻYNKI NOCNE.

(Ciąg dalszy.)

— Na te słowa Stach Nowak przystąpił jeszcze bliżej i zaczął mu się pilnie przypatrywać, inni zaś gospodarze otoczyli go na około, a Stach wziąwszy go za rękę zapytał z współczuciem:

— Czyby wam się jakie nieszczęście doma trafiło kumie, czy co niedobrego wisi nad naszą gminą, żeście tak jakoś posmutnieli, powiedzcie no nam swoim sąsiadom, to może wam co poradzimy?

— Ej moi gospodarze, nic mi się tak takiego nie stało; ale widzita, boli mnie cudze nieszczęście, bo już to zawsze na świecie tak: „co tobie dziś to mnie jutro” otóż pomyślałem sobie teraz, póki człowiek zdrów i w szczęściu,

to ma i przyjaciół dosyć, ale niechno by mi się tylko noga powinęła, broń Boże choroby, ognia albo gradu, toby i przyjaciele gdzieś się podzieli, ot tak jak ten kurz na drodze, co się podnosi z wiatrem i z wiatrem ginie.

Chłopi zaczęli niedowierzająco kiwać głowami, Nowak tylko ze złością spojrzał na Antka, bo już to byli najbliżsi z sobą sąsiedzi, ba i przyjaciele od serca, jeszcze od czasu kiedy razem bydło pasali, dla tego też przykra mu była ta mowa sołtysa — ale Gabryś za niego i za wszystkich odrzekł:

— Pono nie dobrze mówicie o wszystkich mój kumie, a jeszczeście się nie przekonali — możeby też nie tak było z wami jak powiadacie, broń Boże choroby albo innego jakiego nieszczęścia.

— Juścić co prawda to prawda — odezwały się inne głosy.

— Ej Bogać byście mnie tam poratowali, kiedy pozwalacie żeby Józefkowi zboże na polu oblatało, adyć to przecie nasz i nic nie mata przeciwko niemu.

—No juścić cobyśwa tam do nie gomieli— powiedział jeden z chłopów.

— A żaden z was nie pomyślał o tem, żeby pomódz chudziakowi — mówił sołtys z pod oka spoglądając po zgromadzonych.

— Ej! ej! kumie Antolku! filucie,.! — zawołał Nowak naprzód się wysuwając, — już ja wiem do czego wy rychtujecie; chcecie żebyśmy się: ot naprzykład dzisiejszej nocy zeszli wszyscy, całą gromadą i pożęli jego zboże, aleć czemużeście nam od razu tego nie powiedzieli, aleście nas tak jakoś wodzili po manowcach, jakbyście nam nie dowierzali, a przecieć pomódz sąsiadowi choremu, to Sinczyczanie nigdy nie byli od tego, i teraz by się pewno żaden z naszych nie wyłgał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

OJCIEC KAPUCYN

— CZYLI —

ZWYCIĘZTWO WIARY I MIŁOŚCI.

(Ciąg dalszy.)

— Nieszczęśliwa niewiasto, trzykroć nieszczęśliwa! Jakiż zły duch ogarnął duszę Twoją? O, bodajbym już dawniej był opuścił występne to miejsce! Nie mać tu już Boga! Uciekam więc ztąd, abym i ja nie wpadł w sidła piekielne! Pani się zaś pokwap i czemprędzej wstępuj w przykładne ślady godnego synalka! Lecz biada Ci, straszna biada, zaślepiona białogłowo! Wyrzuty sumienia będą Ci dokuczały, gdyby kąsające żmije, a gdziekolwiek staniesz, będą się palić węgle słusznej kary pod Twemi nogami a zbrodnia Twoja będzie ciężyła aż na Twoich potomkach!

Wiedząc najmłodszy Torey wraz z swoją małżonką o zmianie zaszłej w umyśle swej matki, pragnął także poznać wiarę katolicką. Arch-

aniół i Edward nauczali ich prawd Kościoła Rzymskiego z wielką gorliwością. Baronowa pomagała im w tak chwalebnem dziele. A chcąc, aby cały jej dom dotychczasową religią porzucił, zniżyła się aż do najniższego z sług swoich, i sama nauczała wszystkich w zamku Monomusko. Jej gorliwość doszła do tak wysokiego stopnia, że Archanioł, budując się tą Bogu miłą przemianą, w prawdziwem zostawał zachwyceniu.

W górnej części zamku znajdował się obszerny salon. Baronowa urządziła go na kaplicę domową. Mały ołtarzyk stanął przy wschodniej ścianie. Co było najkosztowniejszego, to przyniesiono do kaplicy. Chętnie poświęciły panie i panny dworskie swoje klejnoty, drogie szaty i haftowania dla ozdobienia małej świątyni. Ze sreber i złotych kosztowności kazano porobić kościelne naczynia. Woniejące kadzidła ulatywały w nowym Bożym Domu, a w czystych lustrach odbijało się jasne światło świec, jak śnieg białych. Nie znajdując Baronowa granic w swojej szczodrobliwości, kazała ulać wielki kielich złocisty przecudnej roboty i cieszyła się niezmiernie, że go jej syn Archaniół przyjął bez wymówek jako miłą Bogu ofiarę.

W zamku chodził Archaniół w kapucyńskim habicie, nauczał, napominał i był tak szczęśliwy w świętym swoim zawodzie, iż cały dom swej matki o pierwszeństwie i nieomylności Kościoła Katolickiego przekonał.

Pewnego dnia zebrała Baronowa całą swą familię i z całym dworem, nie wyłączając nawet sług najniższych, i wszyscy porzucili w obliczu małego ołtarzyka wiarę kacerską swoją. Następnie odebrał od nich Archaniół wyznanie Wiary Katolickiej i posilił ich duszę chlebem z nieba pochodzącym, posilił dla wzmocenia ich w nowej wierze, posilił dla wyrugowania z ich serca najmniejszej złej skłonności. —

Ucieszony tym pomyślnym postępem Archaniół, postanowił pracować około nawracania i w innych częściach Szkocyi. Dla pewniejszego dusz uleczenia, zrzekł się na nowo wszystkich wygód i przyjemności. Pościł ściśle, przepędzał nocy całe na modlitwie i ćwiczył się sumiennie w każdej cnocie.

W kilka dni po przyjęciu w zamku Monomusko Wiary Katolickiej, ogłoszono królewskie postanowienie, nakazujące wszystkim kapłanom Rzymskiego obrządku, opuścić kraj w pewnym czasu przeciągu, inaczej mieli się narazić na niebezpieczeństwo utracenia własności i nawet życia swojego. Pastory bowiem heretyckie oczerniali ciągle Archanioła i jemu podobnych u dworu i dopięli wreszcie tego, że król owo wydał postanowienie.

Taki rozkaz, szczególnie, że wręcz przytoczył, iż podobno Wiara Katolicka targa wszelkie węzły wierności i posłuszeństwa dla monarchy i rządu: taki rozkaz zatrwożył mieszkańców zamku Monomusko nadzwyczajnie. Będąc nie dawno dopiero nawróconymi, nie wiedzieli, jakby sobie godnie w nowej wierze postępować. Jakże tu żyć bez Archanioła? Wyrokiem śmierci zdawało im się postanowienie królewskie. Zagrzewając Baronowa nadzieję swoję promieniem świętej wiary, postąpiła do Archanioła i rzekła:

— Bądźmy dobrej myśli, mój synu. Zapewno zniesie nasz monarcha postanowienie swoje albo je przynajmniej złagodzi, skoro się o nikczemności podstępu przekona.

Na to odpowiedział kapucyn:

— Nie ucierpiawszy tu dusza na ziemi. słusznie się może obawiać przyszłości; ponieważ szczęście świata jest częstokroć dane i tym, którzy żadną miarą nie należą do dobrych dzieci Ojca Niebieskiego. O, matko najukochańsza! Jakże to postanowienie Twą nadzieję ożywiać powinno! Cieszyć Ci się nawet trzeba, Matko, gdyby Ci rząd niesprawiedliwy i wszystkie kazał zabrać dobra! Wszak pierwsi chrześcianie opuszczali swą własność dobrowolnie Wiesz także dokładnie, że ś. Apostół Paweł nigdy nie był szęśliwym, jak w czasie cierpień i prześladowań, prześladowań, które jedynie dla nauki Jezusa Chrystusa ponosił.

Nim upłynął czas, rozkazem dworu wyznaczony, zostawała Baronowa z całym swoim domem w ciągłej obawie. Dwaj jej młodsi synowie wraz z synową, utyskiwając sobie na tak nagłe strapienie, rozmyślali nad środkami, jakby ukryć brata swego przed prześladowaniem nieprzyjaciół. Nawet służący byli w obawie. Archaniół zaś pocieszał wszystkich i niczego nie opuszczał, coby za zbytnie lękliwych w cierpliwem znoszeniu dolegliwości i wytrwaniu w do-

brem utwierdzić mogło. W ostatku sama Baronowa pocieszała swych synów i synową słowami pełnemi namaszczenia i była najwzorowszym przykładem zupełnego zdania się na wolę Bozką.

Tymczasem postanowił Archanioł opuścić zamek Monomusko i żyć nieznajomym w Anglii. Sądził on, iż w oddaleniu od krewnych nie tak łatwo będzie odkrytym, a więc dłużej przepracuje w winnicy Pańskiej na rozszerzenie i utwierdzenie Wiary.

Wreszcie zapadł ostatni dzień wyznaczonego przez króla czasu. Odprawiwszy z rana Archanioł ofiarę mszy świętej na zamku rodzinnym, przemówił do nowonawróconych słowy rozczulającemi. A wziąwszy w palce Przenajświętszy Sakrament ółtarza, rzekł jeszcze z żarliwością:

— Oto, Najmilsi, Bóg utajony pod jedyną postacią chleba! Bijcie przed Nim czołem i nie przestawajcie być wierni nowo przyjętej a najdawniejszej Wierze, chociaż i mnie tu nie będzie! Nigdy nie powątpiewajcie o Bozkiej Jego pomocy! Niech zawsze dusza Wasza goreje ku Temu, który właśnie jedynie z miłości ku nam Syna swego zesłał na ziemię! O Najmilsi, jest to właśnie skutek, jest wpływ Jego dobroci niepojętej, że mi przed kilką chwilami dozwolił przemienić chleb i wino w ciało i krew przenajświętszą! Obecny tu teraz Bóg i Człowiek w tym sakramenćie ółtarza! Przyrzeknijcież więc na nowo, że Wiary Katolickiej nie odstąpicie i że się tylko wyroków Kościoła Rzymskiego trzymać będziecie. Jezus ci tylko Chrystus jest Panem nad pany. Zbawca nasz tylko królem wiecznym, któremu i królowie ziemscy równie poddani, jak my ich berłu i władzy. Pogróżki ludzkie nie powinny dobrej waszej chęci osłabić; owszem powinno was to utwierdzać w prawdzie nieomylnej. Zaufajcie Bogu, który was przyjął do niezliczonego grona wiernych swoich dzieci; niewstydźcie się pięknych obrządków swego kościola, padajcie na kolana w modlitwie, okazujcie uszanowanie obrazom Świętych, a szczególnie Matce Bozkiej, uchylajcie czoła przed każdą figurą, szanujcie duchownych jako swych dusz pasterzy, odznaczajcie się wzajemną miłością przed ludźmi innej wiary, wspierajcie się, jak możecie, choć szczerą radą, zawstydzajcie swych przeciwników dobrymi uczynkami i wytrwajcie w dobrem aż do końca! Tam w niebie mnóstwo jest palm zwycięztwa. Aniołowie stróże piastują je w dłoniach swoich i dadzą je każdemu, kto śmiało przed ludźmi i Bogiem pokazał, że jest prawowiernym katolikiem!

Wzruszyła ta mowa Baronowę i wszystkich przytomnych. Przyrzekłszy, że wytrwają w Wierze aż do śmierci, a obżałowawszy jeszcze raz z płaczem grzechy swoje, zbliżyli się do Stołu Pańskiego i przyjęli kommunią świętą. Ich na ów czas szczęśliwość tylko sobie wyobrazić można. Nikt ich nadziemskich rozkoszy opisać nie zdolny.

Nadeszła w końcu straszna chwila rozstania się z Ojcem Archaniołem. Klęknąwszy wszyscy mieszkańcy zamku na kolana, prosili go z rozrzewnionem sercem pod gołem niebem na dziedzińcu o błogosławieństwo. Ze łzami w oczach spojrzał zakonnik w górę, modlił się przez chwilę i przeżegnał grono prawowiernych krzyżem świętym. Teraz przystąpiła matka do niego i rzekła półgłosem te słowa:

— Świadczę się samym Bogiem, że będę wspierała Zgromadzenie Misyi, dopóki choć jeden z tych nowych Apostołów na naszej tu ziemi działać nie przestanie. Ma to być ofiara dziękczynna za doznaną przezemnie łaskę Bozkiego miłosierdzia!

Dziękując jej za taką dobroć Archanioł, rzekł:

— O niechże Cię, godna Matko, łaska Opatrzności dary swemi ciągle obsypuje! Ufaj tylko Bogu całem sercem. A jeźliby się nieprzyjaciel Twej szczęśliwości miał odważyć na zamachy przeciw duszy Twojej, wznieś, droga Matko, oczy ku niebu, a znajdziesz spokój i pociechę natychmiast! Nie oddalaj przytem nigdy serca od Boga, a i ja Ci zawsze będę przytomnym, chociaż i największa przestrzeń, chociaż góry i doliny, skały i wodne odmęty przedzielać nas będą! —

ROZDZIAŁ TRZYNASTY.

Stanąwszy Archanioł w Anglii, zgromadził około siebie wszystkich Ojców zgromadzenia misyjnego i naradzał się z nimi o najlepszych środkach do rozszerzania światła religii katolickiej pomiędzy odszczepieńcami. A wszyscy się zajęli tem chwalebnem dziełem z niepospolitą gorliwością.

Często odbierał Archaniół listy od matki swojej przez zaufanych posłańców. Donosiła mu ona o stanie domu swego i, napominając go do wytrwałości w tak trudnem powołaniu, przysyłała mu liczne sumy na zaspokojenie potrzeb wszelakich. Takowe wsparcia, mające niby wynagrodzić Archanioła za dawne wydziedziczenie, były dla nowoczesnych Apostołów największem dobrodziejstwem. Nie raz bowiem znajdowali się Ojcowie Misyonarze w dotkliwym niedostatku, że csasem i głodu przymrzeć im przyszło.

Codziennie odnosił Ojciec Archaniół nowe w nawracaniu zwycięztwa. Ustępowały zwolna sprzeciwieństwa, lecz inne się natomiast gromadziły w miarę jego gorliwości. Nie raz zagrażało mu niebezpieczeństwo ze strony heretyckich pastorów, na jego zgubę dybiących.

Pewnego dnia jechał sobie Ojciec Archaniół samotną okolicą na koniu. Jeden mu tylko sługa towarzyszył. Nagle ujrzeli w znacznej odległości kurzawę na drodze a w krótce potem mnóstwo jeźdźców. Zapytawszy się Archaniół przechodzącego człowieka, coby to byli za ludzie, dowiedział się, że to biskup anglikańskiego kościoła z swoim orszakiem swą dyecezyę objeżdża.

Wkrótce poznał, że tam się i ów kaznodzieja znajdował, który tak długi czas z łaski jego matki miał na jej dworze przytułek. Nie miłe to spotkanie zatrwożyło go cokolwiek. Zdołał przecię pokryć niespokojność swoją. Jednakowoż poznał go kalwiński kaznodzieja. Natychmiast skręcił tenże koniem do biskupa i szepnął do niego te słowa: — Otóż to ten sam łotr, który to wierze naszej tyle niebezpieczny!

Niezwłocznie rozkazał biskup swoim sługom przytrzymać Archanioła. Ten zaś spiąwszy konia ostrogami, zdołał się schronić do po blizkiego lasu. Słudzy biskupa schwytali tylko Archaniołowego człowieka. Dostał się także w ich ręce tłumoczek jego a z tym i kielich w nim zawinięty, oraz kilka pism przeciw odszczepieńcom wymierzonych. Dostrzegłszy Archaniół, co uciekając zgubił, zasmucił się bardzo i byłby nieomał wolał życie stracić, niż te dla niego tak nieocenione rzeczy.

Stanąwszy biskup anglikański w domu pewnego plebana na nocleg, badał schwytanego sługę o różne stosunki jego pana, lecz dowiedział się tylko o obojętnych dla siebie rzeczach. A naradziwszy się z swoimi pomocnikami skazał pisma misyonarza na publiczne spalenie. Ustawiono więc stós z drzewa, zawołano lud z okolicy i przeklinając owych książek pisarza, podarto jego prace i wrzucono je w płomienie.

Lecz jeszcze większego strapienia miał doznać Archaniół. Ledwie co uszedł złości nieprzyjaciół, aż tu odebrał z Rzymu od swoich przełożonych list następujący:

„Doniesiono zwierzchnikom zgromadzenia misyi, jako się, Wielebny Ojcze, do udzielonych Wam przepisów nie zupełnie stosujecie, żyjąc sobie za światowo i używając wszystkich wygód, jakie Wam bogactwa matki Waszej podają. Lubo zwierzchność zgromadzenia, po wysłuchaniu świadków, na korzyść Waszą powzięła, że Was obłudnie oskarżono, — przecię wymagają okoliczności, abyście wrócili do Rzymu i tu się przed nami osobnie usprawiedliwili."

Nie zasmucił Archanioła ten zapozew duchowny, owszem go ucieszył. Dobywszy krzyżyka, pod suknią na piersiach ukrytego, dziękował Bogu za nowo zesłaną dolegliwość, błagając go o oświecenie umyłu oskarżycieli, aby grzech swój z żalem poznali. A przycisnąwszy krzyżyk do serca, rozważył, jakichby użyć środków do jak naśpieśniejszego odjazdu. W prędkości napisał jeszcze kilka słów do matki, donosząc jej o konieczności swego powrotu do Rzymu i ciesząc ją nadzieją, że tylko pomyślny skutek z dalekiej onej podróży odniesie.

Właśnie panowało we Włoszech powietrze. Przybywszy do Ferary Archaniół, zatrzymał się w tem mieście dla ocalena zarażonych morem. Lecz aby jego w Rzymie spóźnienie nie rzuciło nań podejrzenia, uwiadomił swych przełożonych, dla czego we Ferarze pozostał. W kilka dni odebrał odpowiedź. Pochwalono mu jego postępek; lecz żądano, aby się udał do klasztoru w Kremonie i tam powietrzem zarażonych od

śmierci ocalał. Równocześnie otrzymał uwiadomienie, że w Rzymie za niewinnego uznany. Nawet w jego niebytności wytoczyła się sprawa korzystnie. Przekonawszy się Papież Urban VIII, a następca Grzegorza o niewinności Archanioła, zostawił to zakonowi kapucynów do woli, czy go do Szkocyi znowu chcą wysłać, czy nie.

Za taką uprzedzającą łaskę złożył Archanioł Bogu dziękczynienie i udał się niezwłocznie do Kremony, gdzie właśnie morowe powietrze najsrożej panowało. Z największem poświęceniem usługiwał chorym to jako troskliwy lekarz, to jako sumienny spowiednik. Pozostałych po nieboszczykach przyjaciół i krewnych pocieszał z słodyczą i wspierał według możności. Nie jedną noc przepędził na pielęgnowaniu i pieczołowitości; nie jeden dzień na zabiegach około dobra swych bliźnich. Ileż razy dokuczał mu nawet głód ciężki! W każdej chwili zagrażało mu niebezpieczeństwo śmierci, a przecię się jej nie lękał. Sądził, że go sam Pan Bóg w to położenie wprowadził. Oskarżony niespodzianie przed przełożonymi, musiał opuścić Anglią i przybyć do Włoch, niejako dla ćwiczenia się tam w cnotach miłosierdzia, dla pomagania nieszczęśliwemu ludowi!

Gdy wreszcie mór ustąpił, otrzymał Archanioł od Jenerała kapucynów rozkaz udania się z Wielebnym Ojcem Epifanijaszem do Szkocyi, gdzie według woli Ojca Świętego na nowo misyjonarze swe prace rozpocząć mieli. Udał się przecię pierw do Rzymu. Po drodze wstąpił do Loreto, gdzie przed obrazem Matki Bozkiej padł na kolana i polecił się opiece tej Opiekunki wszystkich bogobojnych. Z wielką radością stanął na końcu w Rzymie. Tu odebrał przepisy względem postępowania sobie z heretykami w obcym kraju. Odwiedziwszy wszystkie święte miejsca, pobiegł do Ojca Świętego, ucałował mu stopy, prosił go o apostolskie błogosławieństwo. Następnie poruczywszy się opiece Bozkiej, wyjechał z Rzymu. W Liwornie wsiadł na okręt, przypłynął do Francyi, stanął w krótce w mieście Kale (Calais), i przebrawszy się tu po świecku, odbił angielskim okrętem do Anglii. Przypadkiem był kapitan morski katolikiem. To jemu i Epifanijaszowi niewymowną sprawiło radość.

(Dokończenie nastąpi).

HISTORYA STANÓW ZJEDNOCZONYCH

OD ODKRYCIA AMERYKI, AŻ DO NASZYCH CZASOW.

(Ciąg dalszy.)

Crecks'owie pomagali także swym pobratymcom w Florydzie niszcząc i paląc miejscowości w Alabama i Georgii, a osadnicy tysiącami przed nimi uciekali. Jen. Winfield Scott został natenczas mianowany naczelnym wodzem na południu. Ten pobił Crecks'ów i przeprawił ich po za rzekę Mississippi. W październiku 1836 wyruszył jenerał Call, gubernator Georgii na czele 200 ludzi przeciw Seminolom. Część jego oddziału 500 ludzi stoczyła z Indyanami potyczkę, w której ani jedna ani druga strona nie zwyciężyła. Walka trwała przez długi czas jeszcze. Niektórzy naczelnicy zawarli w marcu 1837 traktat z jenerałem Jesup, na mocy którego obiecali się udać natychmiast do rezerwacyi po za rzekę Mississippi. Lecz chytry Osceola zniewolił ich do złamania traktatu, wskutek czego jeszcze wielu żołnierzy utraciło życie w bagnach Florydy. W dniu 21 października przybył Osceola z niektórymi naczelnikami do obozu jenerała Jesupa. Ten nie wdał się z nimi w żadne układy, lecz uwięził ich a Osceolę posłał do Charlestonu, gdzie ten wkrótce umarł. Pomimo tego opierali się Seminolowie jeszcze dłużej.

W dniu 25 grudnia 1837 ponieśli straszliwą klęskę nad jeziorem Maraw. Dowodził tam pułkownik Zacharyasz Taylor następca jen. Jesupa. Dzielny ten żołnierz uganiał się przez dwa lata jeszcze za Indyanami aż nareszcie został zawarty traktat w r. 1839, lecz mordy i rabunki trwały aż do r. 1842, kiedy nastał pokój stały. Wojna ta siedmioletnia kosztowała życie wielu żołnierzy i miliony dolarów.

Przez cały czas swej administracyi okazywał Jackson jak największą energię. Z Francyą zaszły zatargi, gdyż nie chciała zapłacić dol. 5,000,000 wynagrodzenia za szkody poniesione przez obywateli podczas wojen napoleońskich. Gdy prezydent groził krokami nieprzyjacielskiemi, uiściła się ze swej obietnicy. Toż samo uczyniła Portugalia. Z Rosyą i Belgią zawarto przymierze i Stany Zjednoczone były wszędzie szanowane. Dwa stany nowe: Arkansas i Michigan zostały przyjęte do Unii.

Ostatni akt urzędowy Jacksona wywołał niezadowolenie i oburzenie. W dniu 11 lipca 1836 r. otrzymali wszyscy urzędnicy pobierający podatek uwiadomienie, iż podatki wszystkie mają być opłacane srebrem i złotem. Przestały wszystkie spekulacye i nawet handel ucierpiał znacznie. Wzburzenie wzmagało się coraz bardziej, a kongres na końcu sesyi postanowił zmienić powyższe rozporządzenie częściowo. Prezydent zawetował zmianę i zatrzymał bill aż do odroczenia kongresu, wskutek czego i prawo nie weszło w życie. Jackson był lat 70 stary gdy złożył swój urząd.

W jesieni 1836 r. odbyły się wybory. Prezydentem został obrany Martin Van Buren ze stanu New York, wiceprezydenta nie wybrał lud; tego zamianował senat w osobie Ryszarda Jackson z Kentucky.

ROZDZIAŁ VIII.

Administracya Van Buren'a (1837 — 1841.)

Martin Van Buren ósmy prezydent Stanów Zjednoczonych, był pochodzenia hollandzkiego. Objął administracyę gdy właśnie panował wielki zastój w handlu i przemyśle. Za wielkie spekulacye przyczyniły się do bankructw. W marcu i kwietniu 1837 wynosiły bankructwa w samym tylko Nowym Yorku 500 milionów dolarów. Piętnaście miesięcy przedtem (w grudniu 1835) zniszczył pożar 529 bydynków i inną własność w Nowym Yorku. Strata wynosiła przeszło 20 milionów dolarów. Smutne wyniki tych bankructw i strat, dały się czuć na ostatnich nawet krańcach Stanów Zjednoczonych a kredyt i zaufanie zaginęły.

W maju 1837 r. udała się deputacya kupców i bankierów z Nowego Yorku do prezydenta z petycyą, aby pobieranie podatków za importowane towary odłożono, zniesiono rozporządzenie płacenia srebrem i złotem i aby zwołał nadzwyczajną sesyę kongresu dla załatwienia tych spraw. Prezydent odmówił. Wynikiem tej odmowy było, że w Nowym Yorku, Boston, Providence, Hartfort, Albany, Philadelphia, Baltimore i nawet w mniejszych miastach nie wydawano żadnych pieniędzy srebrnych ani złotych, tak, że admistracya nareszcie nie mogła się uiścić ze swych obligacyi. Prezydent widział się zmuszonym zwołać nadzwyczajną sesyę kongresu, która trwała 43 dni, lecz w której nic więcej nie uchwalono jak tylko, aby wydano obligacye na skarbiec w sumie dol. 10,000,000.

Ruch rewolucyjny w Canadzie, którego celem było przyłączenie tej prowincyi do Stanów Zjednoczonych, wywołał na krótki czas nieporozumienie pomiędzy Anglią i Stanani, ponieważ wolontaryusze ze Stanów Zjednoczonych łączyli się z powstańcami; zdawało się nawet, że na nowo wybuchnie wojna. Prezydent wydał proklamacyę przestrzegającą każdego od brania udziału w tym ruchu, grożąc karami, jakie pociągało za sobą znieważenie praw międzynarodowych. Wysłał nawet w r. 1838 jenerała Scott nad granicę dla utrzymania porządku. Pomimo tego tworzyły się potajemnie oddziały, które dążyły do Canady. Dopiero w r. 1841 ruch ten ustał, gdy naczelnicy powstania już nie żyli lub pozostawali na wygnaniu.

W tym samym czasie powstały nieporozumienia o granicę pomiędzy stanem Maine i angielską prowincyą nowobrunświcką. I ta sprawa groziła zerwaniem stosunków dyplomatycznych z Anglią, lecz została także załatwioną ostatecznie traktatem zawartym w Washingtonie w dniu 20 sierpnia 1842 roku.

Nadszedł znów czas wyborów. Van Buren który był wprawdzie kandydatem stronnictwa demokratycznego, nie został wybranym, gdyż mu przypisywano winę zastoju businesowego. Wybranym został jen. William H. Harrison z Ohio a wiceprezydentem John Tyler z Virginii.

Przy końcu administracyi Van Buren'a, liczyły Stany Zjednoczone 17 milionów mieszkańców.

ROZDZIAŁ IX.

Administracya Harrison'a i Tyler'a (1841 — 1845.)

Harrison był już 68 lat stary gdy objął zarząd. Lud pokładał w nim wielkie nadzieje, które atoli spełzły na niczem, bo nowy prezydent umarł w dniu 4 kwietnia, w miesiąc po objęciu urzędu.

Podług przepisów konstytucyi, stał się następcą jego wiceprezydent Tyler. W dnia 31 maja rozpoczęła się nadzwyczajna sesya kongresu Harrison'a, i trwała do 13 września; uchwalono na niej zwłaszcza prawo przeciw bankructwu.

W drugim roku administracyi Tylera uregulowano północno wschodnią granicę Stanów Zjednoczonych i zrobiono znaczne odmiany w taryfie cła. W tym samym roku wybuchły niepokoje w Rhode Island. Rozruchy te powstały z powodu, iż stronnictwo pewne zażądało zmiany starodawnych praw angielskich, któremi lud się rządził przez lat 180. Powstały dwie partye — radykalni i konserwatywni — z których każda ustanowiła konstytucyę i wybrała gubernatora, jako też i władzę prawodawczą. Oba stronnictwa przysposobiały się już do roztrzygnięcia kwestyi z bronią w ręku, lecz wojsko narodowe przybyło i zaprowadziło porządek. Wypracowano nareszcie nową konstytucyę, która przez ogół przyjętą została.

W ostatnim roku administracyi Tylera usiłowano dużo w celu przyłączenia do Stanów Zjednoczonych niezawisłej rzeczy pospolitej Texas. W stanach północnych sprzeciwiano się temu. Obawiano się bowiem, że przez przyłączenie to, zwolennicy niewolnictwa uzyskają przeważną siłę polityczną i zarazem, że może powstaną nieporozumienia z sąsiednią rzeczą pospolitą meksykańską.

Ostatnim czynem urzędowym Tylera było podpisanie prawa przyłączającego Florydę i Iowę do szeregu Stanów Zjednoczonych.

Następcą jego został obrany kandydat demokratyczny James K. Polk z Tennessee a wiceprezydentem wybrano Jerzego M. Dallas, także demokratę.

ROZDZIAŁ X.

Administracya Polk'a (1845 — 1849.)

Nowa administracya zwróciła swą uwagę zwłaszcza na przyłączenie Texas'u do Stanów Zjednoczonych i na pretensye Wielkiej Brytanii do znacznej części Oregon nad wybrzeżem oceanu spokojnego.

Texas własną wolą jego ludności został przyłączony do Stanów Zjednoczonych w dniu 4 lipca 1845 r.

Wielki obszar pomiędzy górami skalistemi (Rocky Mountains) i oceanem spokojnym był już dawniej przyczyną sporu między Anglią i Stanami Zjednoczonemi. W roku 1818 zawarto przymierze na mocy którego oba narody miały wolny wstęp do wszystkich zatok i portów nad wybrzeżem oceanu spokojnego. Traktat ten został w r. 1827 odnowiony na czas nieograniczony. W roku 1846 określono granicę posiadłości amerykańskich i ustanowiono dla Oregonu zarząd terytoryalny, lecz prowincyę podzielono w r. 1848 na dwie, z których północna przybrała nazwę „Washington Terytory".

Przyłączenie Texas'u wywołało jak się tego spodziewano, rozprzężenie stosunków politycznych pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem, którego rząd stan ten uważał za należący do rzeczy pospolitej meksykańskiej, pomimo że Stany Zjednoczone, Francya, Anglia i inne mocarstwa uznały były niepodległość Texas'u. W dniu 6 marca 1845 r. zaprotestował jen. Almonte, poseł meksykański w Washingtonie przeciw przyłączeniu Texas'u i zażądał swe paszporta. W dniu 4 czerwca wydał jen. Herere, prezydent rzeczy pospolitej sąsiedniej proklamacyę, w której oświadczył, iż będzie z bronią w ręku bronił praw meksykańskich. Był tam jeszcze inny powód nieporozumienia. Od czasu zaprowadzenia rządu republikańskiego (1824) w Meksyku, był naród meksykański zawsze niesprawiedliwym i szkodliwym sąsiadem; władze nieposiadające w skarbcu pieniędzy z powodu ciągłych wojen domowych, aby zbogacić skarbiec, zabierały okręta amerykańskie w zatoce meksykańskiej, lub też obrabowywały kupców amerykańskich w Meksyku się znajdujących. Pomimo protestów i traktatów nadużycia te trwały wciąż. W roku 1840 należało się Stanom Zjednoczonym dolarów 6,000,000 za zabranie własności amerykańskiej. Rząd meksykański oświadczył że zwróci tylko dwa miliony dolarów.

(Dalszy ciąg nastąpi).